Ks. Piotr PAWLUKIEWICZ

„OJCZE NASZ..."[1]

A skąd biorą się księża? Ktoś odpowie: „Z seminarium". [...] Ale gdzie kształtuje się istota osobowości każdego kapłana? Oczywiście w domu rodzinnym, lecz także w szkole, na podwórku, wśród rówieśników. A jaka jest polska rodzina, polska szkoła i podwórko?...

Miłość nieprzyjaciół, o której mówi dzisiaj Jezus, jest chyba w chrześcijaństwie czymś najtrudniejszym. Nie posty, nie modlitwy, nawet chyba nie wezwanie do życia w czystej miłości, ale właśnie obowiązek czynienia dobrze tym, którzy nie zawsze nam dobrze czynią. Uczeń Jezusa jest wezwany do takiej postawy i tę sprawę Zbawiciel postawił w Ewangelii w sposób bezdyskusyjny. Nie pomogą tłumaczenia, że „to on pierwszy", „że ja się nie gniewam, tylko nie chcę z nim rozmawiać", „że jestem gotów wybaczyć, ale niech to on pierwszy wyciągnie rękę". Chrześcijaństwo czegoś takiego nie przyjmuje. „Miłujcie się, jak Ja was umiłowałem" powiedział do nas Jezus, a On ukochał nas, gdy byliśmy jeszcze grzesznikami. Chrystus kochał, to znaczy wychodził do człowieka, rozmawiał z nim, karmił go i uzdrawiał. I chrześcijanin też ma kochać, a więc wychodzić do drugiego, rozmawiać z nim, karmić i leczyć. Święty Łukasz w swojej Ewangelii mówi tak: „O zachodzie słońca wszyscy, którzy mieli cierpiących na rozmaite choroby, przynosili ich do Niego. On zaś na każdego z nich kładł ręce i uzdrawiał ich". (Łk 4, 40). Proszę zwrócić uwagę na dwa słowa tego akapitu: „wszystkich" i „każdego". Jezus uzdrawiał w s z y s t k i c h i kładł ręce na k a ż d e g o. A przecież przychodzili do niego i ludzie pobożni, i cwaniacy, uczciwi i złodzieje, kochający Zbawiciela i ci nasłani przez faryzeuszy, którzy mieli pochwycić go na słowie. Ale On ich nie dzielił na kategorie. Przyszedł ratować wszystkich, Jemu zależało na każdym. I ten, kto chce być Jego uczniem, musi postępować tak samo. Bez miłości bliźniego nie ma miłości Boga, nie ma chrześcijaństwa. Dodajmy wyraźnie – bez miłości bliźniego, który nawet mnie skrzywdził, wykorzystał, który przychodzi po to, by mnie pochwycić na słowie.

[1] Homilia podczas Mszy świętej radiowej 19 lutego 1995 roku.

Skoro Jezus tak mocno stawiał sprawę miłości nieprzyjaciół, to chyba nie ma wątpliwości, że wezwanie to dotyczy jeszcze bardziej rodziny, bliskich. Chrystus wymagał wzajemnej miłości od swych Apostołów, podkreślając, że jedność Jego wyznawców będzie najlepszym świadectwem dla świata. Przestrzegał jednocześnie, że próba pogodzenia gniewu, wrogości i niechęci z pobożnymi praktykami, nie tyle nie przymnaża chwały Bogu, co staje się powodem gniewu Stwórcy. „Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj!" (Mt 5, 23-24). Dlatego we wszystkich wspólnotach chrześcijańskich tak wiele mówimy o wzajemnej miłości i wybaczeniu. Jeśli stajemy przy ołtarzu Zbawiciela i wspólnie wypowiadamy słowa: „Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom", to serca musimy mieć wtedy rzeczywiście wolne od niechęci i wrogości. Musimy naprawdę wybaczyć wszystkim i każdemu. Dotyczy to rodzin ludzi świeckich, ale także wspólnot kapłańskich i zakonnych.

W tym roku obchodzimy w Kościele rok kapłaństwa i pragnę, by stało się to okazją do podjęcia pewnej refleksji na temat jedności pomiędzy kapłanami a ludźmi świeckimi. Tworzymy bowiem wspólnie liczne rodziny parafialne. Spotykamy się w czasie wizyty kolędowej, w kancelarii parafialnej, ale przede wszystkim w każdą niedzielę wspólnie otaczamy eucharystyczny ołtarz. Te nasze świąteczne zgromadzenia są, chciałoby się powiedzieć, naszymi powszednimi formami bycia ze sobą. Ksiądz widzi swoich parafian przede wszystkim na Mszy świętej i oni tam właśnie modlą się ze swoim pasterzem, słuchają jego słowa. Gdyby więc w te nasze spotkania przy stole miłości wdarł się cień wrogości i niechęci, to – zgodnie ze słowami Zbawiciela – podważyłoby to samą istotę i sens tych nabożeństw, chrześcijańskiego życia i w ogóle wszystkiego, co staramy się czynić we wspólnocie parafialnej.

Nie chciałbym podejmować próby ogólnej oceny relacji panujących pomiędzy świeckimi i księżmi. Z jednej strony mass media podkreślają często niechętny stosunek społeczeństwa do Kościoła, z drugiej zaś codzienne życie polskich parafii ukazuje, jak dla wielu Polaków kapłan jest osobą godną szacunku, jak ludzie oczekują spotkania z księżmi, jak często okazują im swoją życzliwość i wdzięczność. Z jednej strony głosi się tezę o laicyzacji społeczeństwa, z drugiej jednym z największych kłopotów księży biskupów jest to, jak zadośćuczynić wszystkim prośbom wiernych, którzy proszą o duszpasterzy. Proszą o księży robotnicy i rzemieślnicy, prosi służba zdrowia i nauczyciele. Proszą i sportowcy, i kolejarze. Nawet pszczelarze i taksówkarze chcą mieć swoich kapelanów.

Nie jest jednak przy tym żadną tajemnicą, że nawet ci, którzy chodzą do kościoła, mają wobec duchowieństwa pewne zarzuty. Znamy je chyba wszyscy: że księża są bogaci,że się wtrącają do polityki, że mówią nudne kazania, że są

niekiedy niegrzeczni w kancelarii przy załatwianiu spraw pogrzebów i ślubów. Czy te zarzuty są słuszne? Pozostawię na chwilę to pytanie na boku, a zapytam o coś innego: a skąd biorą się księża? Ktoś odpowie: „Z seminarium". To prawda, seminarium daje klerykowi pewną formację duchową i intelektualną, ale gdzie kształtuje się istota osobowości każdego kapłana? Oczywiście w domu rodzinnym, lecz także w szkole, na podwórku, wśród rówieśników. A jaka jest polska rodzina, polska szkoła i podwórko – wszyscy wiemy. Księża są darem nieba, ale nie spadają z nieba. Wychodzą spomiędzy nas. My wszyscy jesteśmy wychowawcami przyszłych pokoleń kapłanów. Dlatego pamiętaj: może w twoim domu biega teraz mały chłopiec. Twój syn, wnuk. Może jest powołany do kapłaństwa. Ty jeszcze o tym nie wiesz i on jeszcze o tym nie wie. Ale teraz ty jesteś jego wychowawcą, ty kształcisz przyszłego kapłana. Czy jeżeli dziś taki młody chłopak będzie widział w swoim domu wrogość, będzie słyszał kłótnie rodziców, to czy może kiedyś w przyszłości sam nie zastosuje takich siłowych metod w duszpasterstwie? Czy jeśli usłyszy od matki bądź ojca słowa: „Liczy się tylko pieniądz", to czy potem nie przyjdą mu one na myśl w czasie chodzenia po kolędzie, rozmowy w kancelarii parafialnej?

Ktoś zapyta: „To dlaczego Pan Bóg nie powołuje do kapłaństwa tych najlepszych: z dobrych domów, kulturalnych i dojrzałych osobowościowo?" To pytanie pozostanie bez odpowiedzi. Tak samo jak bez odpowiedzi pozostaje pytanie, dlaczego tych a nie innych wybrał na Apostołów. Dlaczego wybrał tych, którzy kłócili się między sobą o swoją wielkość. Dlaczego wybrał Piotra, który się go zaparł, czy wreszcie – Judasza zdrajcę. Czyż nie było w Izraelu lepszych? – Na pewno byli.

A może Bóg tak wybiera, bo chce nas wszystkich przyprowadzić do tego miejsca, gdzie stanęli trzej mędrcy, kiedy poszukiwali nowo narodzonego Mesjasza? To byli naprawdę nieprzeciętnie mądrzy ludzie. Nie tylko z tego powodu, że potrafili dzięki gwieździe odnaleźć betlejemską stajnię. Na większe jeszcze chyba uznanie zasługuje fakt, że nie zmyliła ich cała sceneria, w jakiej odnaleźli Mesjasza. Przecież zobaczyli Go w stajni, która na pewno nie była tak urocza jak nasze bożonarodzeniowe stajenki. Chrystus w chłodzie i w ciemności, obok jego Matka i Opiekun, prości ludzie. I jeszcze pasterze. Niekoniecznie pastuszkowie. Może nawet pastuchy. I oto ci mędrcy, królowie, nie mówią do Maryi: „Wynieść go nam przed stajnię, bo my tam nie wejdziemy!". Nie mówią: „Przyjdź tu do nas ze swoim dzieckiem, bo my z pastuchami razem klękać nie będziemy!". Nie. Oni są naprawdę mądrzy. Są tak mądrzy, że odkrywają Boga wśród prostaczków i prostaków, wśród zaduchu i ciemności. Czy Bóg i nas nie stawia przed taką próbą? „Czy rozpoznasz Mnie wśród współczesnych pastuchów? Czy rozpoznasz Mnie we współczesnych stajniach?". – Ilu nie zdaje tego egzaminu: „Chodziłbym do kościoła, ale ten poziom, ta zaściankowość, ale ta parafiańszczyzna!". Nie chcę tym samym usprawiedliwiać zaniedbań w naszym duszpasterstwie. Nie twierdzę, że skoro Jezus wybrał to, co głupie w oczach

świata, to my możemy w naszych kościołach pozwolić sobie na przeciętność. Chcę tylko zauważyć, że jeżeli ktoś naprawdę szuka Boga, to przyjmie Go nawet wtedy, gdy on przyjdzie w otoczeniu swoich wybranych Apostołów: Piotra, który uderzył człowieka mieczem w głowę, a potem zaparł się ukochanego Nauczyciela, synów Zebedeusza, którzy chcieli zrobić karierę, Filipa, który Mu nie wierzył i Judasza, który Go zdradził. Tacy mali w swoich słabościach, że miałoby się nimi ochotę pogardzić, ale Zbawiciel im powiedział: „Kto wami gardzi, Mną gardzi". Nie powiedział: „Kto gardzi świętym Apostołem, Mną gardzi". I mówił to Jezus do swoich uczniów jeszcze wtedy, gdy był pomiędzy nimi Judasz...

Gdy spotykam się z wypowiadaną ze złością litanią zarzutów pod adresem księży, widząc zacietrzewienie oburzonego człowieka, pytam niekiedy tylko: „Czy pan, pani się za nas modli?". I często widzę zdumienie na twarzy rozmówcy: „Modlić się? Za kler?". Tak, bo my wszyscy jesteśmy Kościołem. Jesteśmy powiązani mistycznymi więzami, jak taternicy linami w czasie wspinaczki na szczyt. Gdy jeden leci dół, pociąga innych; gdy jest silny i sprawny, to jeszcze pociągnie innych do góry. Święty kapłan może wiele serc doprowadzić do Boga. Ale i święci ludzie mogą pomóc księdzu w jego misji. Mogą pomóc, ale i mogą przeszkodzić. To nie jest tylko tak, że księża oddziaływują na wiernych. Ilu ja spotkałem świeckich, którzy dali mi wspaniałą lekcję chrześcijaństwa. Po wyjściu z konfesjonału miałem nieraz ochotę ucałować ręce tego, który się spowiadał. Ale były i takie spowiedzi, nad których pustką chciało się płakać. Najbardziej bolały jednak spotkania z ludźmi, którzy czekali na potknięcie kapłana, cieszyli się, gdy mu coś nie wyszło. Lecz oni chyba nie są z tej owczarni. Bo ludzie naprawdę szukający nieba smucą się, gdy ich pasterz błądzi.

Spotykam się z opinią, że księża to mają dobrze, że dobrze się w życiu ustawili. Samochody, piękne plebanie, duże pieniądze. Skoro dla tych, którzy nie wierzą w żadne powołanie, a na świat patrzą tylko przez pryzmat doczesności, być księdzem to dobry interes, to dlaczego w seminariach wciąż puste miejsca? „A może pan wstąpi do seminarium?" – zapytałem taksówkarza, który przekonywał mnie przez kwadrans, że takich przywilejów, dochodów i w ogóle takiej wygody życia, jak księża, nie ma w Polsce nikt. Mruknął coś tylko pod nosem i odjechał.

Ja tych ludzi po części rozumiem. Gdy patrzy się na młodego księdza, który przed piękną plebanią wsiada do swojego samochodu, to można powiedzieć: „Takiemu to się powodzi!". Ale czy wiecie bracia i siostry, jak wygląda na przykład starość kapłana? Czy widzieliście kiedyś dom księży emerytów? Dom, w którym w zasadzie też wszystko jest, tylko którego jednak nie odwiedzają dzieci, wnuki. Nie chcę się żalić. Jestem szczęśliwym kapłanem, a Chrystus już na początku zapowiedział, co czeka tych, którzy pójdą za Nim. Tylko proszę cię pomyśl nieraz o tym, jak ksiądz spędza święta, co przeżywa, gdy

co jakiś czas musi zostawiać parafię, młodzież, zbudowany kościół i iść dalej. Jeszcze raz powtarzam, że nie chcę powiedzieć, iż źle się nam dzieje. Chodzi tu o to, byśmy nawzajem szanowali krzyż swego życia. By księża szanowali trud matek i ojców, by dostrzegali udrękę tych, co nie mają swoich mieszkań, którym nie starcza do pierwszego, którzy stracili pracę. Ale dobrze by było nieraz pomyśleć, że to może niezbyt udane kazanie mogło być pisane do późna w nocy, że po kilku godzinach spowiedzi w konfesjonale ma się ochotę płakać, że po wieczorze wizyty kolędowej w nocy niekiedy nie można spać. Bo chyba jest tak, że księża i świeccy mają tak samo. Tak samo dobrze i tak samo niedobrze; tylko niektórzy widzą to, co chcą widzieć.

Na koniec swoich refleksji chciałbym powiedzieć tak: może ciebie, bracie i siostro spotkała jakaś przykrość ze strony osoby duchownej. Może kiedyś w konfesjonale, może w kancelarii parafialnej. I pamiętasz to do dziś. Może się nawet obraziłeś na Kościół i już nie chcesz mieć z „czarnymi" nic do czynienia. A może znasz kogoś, kogo właśnie coś takiego spotkało i odszedł od Mszy świętej, spowiedzi, sakramentów. Otóż chciałem ci dzisiaj powiedzieć i prosić cię byś w moim imieniu powiedział to temu człowiekowi, chciałem wam powiedzieć słowo: „Przepraszam". Przepraszam za tamto wydarzenie, za tamtą sytuację. I chciałem prosić ciebie, każdego obrażonego na Kościół człowieka: „Wróć".

Wróć do Bożej owczarni. Czy mogę ci obiecać, że od tej chwili będziesz już spotykał w Kościele samych wspaniałych księży, że już nigdy nie dostrzeżesz niczego, co napawa smutkiem, denerwuje? Nie. Nie mogę tego obiecać. Ale czy ty możesz obiecać, że w twojej rodzinie zawsze będzie uśmiech i zgoda? Bo widzisz, Kościół to jest wspólnota grzeszników, grzesznych świeckich i grzesznych księży, pomiędzy którymi stanął Jezus. I chce nas prowadzić do domu Ojca. I od tej chwili, choć ułomni, jesteśmy już świętym Kościołem. A Jezus niejako mówi: „Wybaczę wam wszystko, zaprowadzę was daleko, tylko przebaczajcie sobie". Dlatego jeśli i ty zraniłeś słowem, jeśli obmawiałeś, sądziłeś – przeproś.

Jest we Mszy świętej taki piękny moment, kiedy wszyscy: ksiądz, świeccy, siostry zakonne jednym głosem mówią: „Ojcze nasz". Nie mówimy: „Ojcze kapłanów, Ojcze świeckich, Ojcze sióstr". Mówimy: Ojcze nasz. Mówi proboszcz i kierowca, wikary i górnik, biskup i sprzątaczka. Ojcze nasz. Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Ojcze nasz.